

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Władysław Umiński.

## HISTORIA ŚRODKÓW KOMUNIKACYI.

### Koleje żelazne.

#### 2. Budowa. — Tunele. — Koleje górskie.

Budowa kolei żelaznych, to jest torów, po których przebiegają z ogromną szybkością ciężkie pociągi, wymaga wielkiej staranności, kosztów i trudów. Jest to jeden z najważniejszych odłamów nauki inżynierskiej, która w ciągu ubiegłego stulecia rozwinęła się znakomicie.

Prace inżynierów kolejowych rozpadają się na trzy główne działy, a mianowicie: 1) wytknięcie kierunku drogi, 2) budowa samej drogi i 3) utrzymanie jej ciągle w należytym stanie.

Wytknięcie kierunku drogi zależy od potrzeb handlowych, przemysłowych i państwowych miejscowości, przez które ma przechodzić, to też rozstrzyga go ostatecznie rząd, ale inżynierzy muszą dokładnie zbadać cały teren, aby przyjęty kierunek wymagał jak najmniej ilości robót ziemnych, mostów, tuneli i t. p., które są niezmiernie kosztowne.

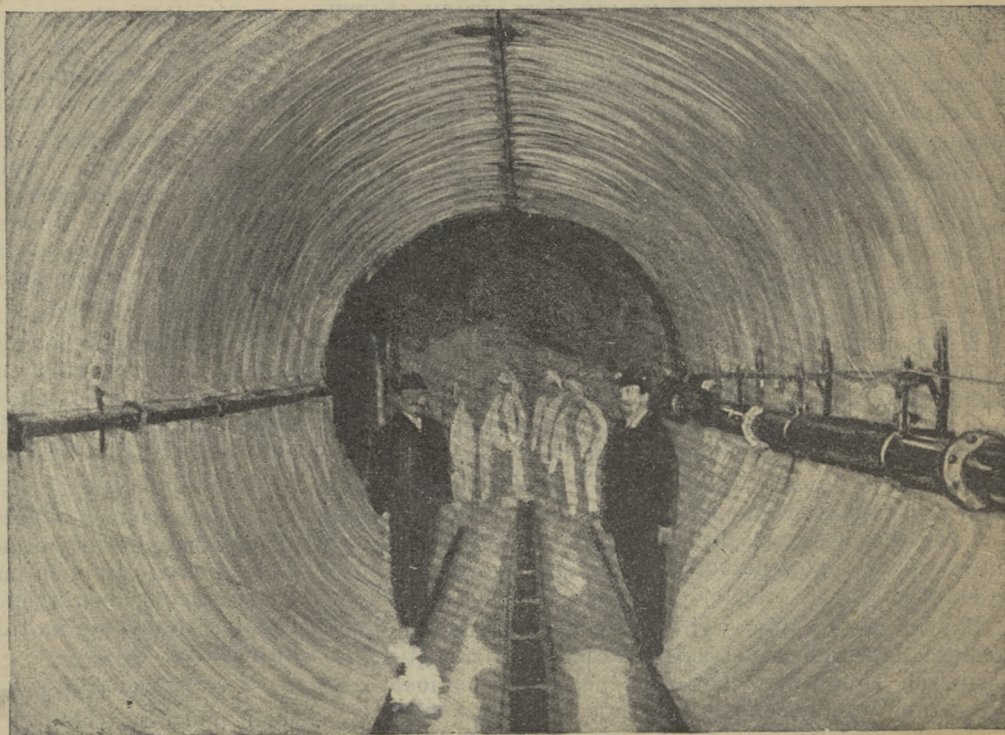
Budowa obejmuje najprzód wszelkie roboty, mające na celu usypanie pasa drogi czyli *plantu*, jak najbardziej poziomego i prostego, to znaczy

bez wszelkich pochyłości i gwałtownych zagięć. Na tym wale ziemnym układa się balast z szabru lub zwiru i przystępuje się do układania szyn.

Szyny czyli relse bywają żelazne lub stalowe, a przytwierdzają się do *podkładów*, to jest poprzecznie układanych balów najczęściej z drzewa dębowego, jako najtrwalszego.

Na dwóch załączonych rycinach widzimy sceny z budowy kolei transafrykańskiej, na pierwszej robienie nasypu, na drugiej — układanie szyn.

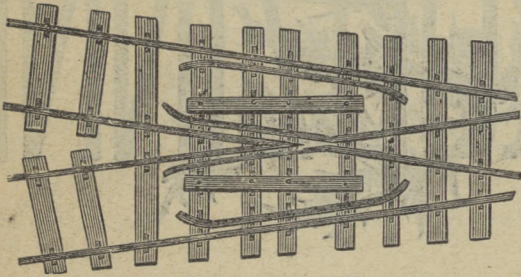
Szerokość rozstawienia szyn, czyli szerokość toru w większości krajów wynosi 1,435 metra. Taką samą szerokość posiada kolej Warszawsko-Wiedeńska. Wszystkie inne koleje w państwie Rosyjskiem są szersze, przestrzeń między szynami wynosi 1,524 metra, a stąd i koła wagonów



Tunel pod rzeką Sprewą w Berlinie.

muszą być szerzej rozstawione. Kolejki podjazdowe mają tor znacznie węższy.

Przy krzyżowaniu się dwóch linii i przesuwaniu pociągów z jednej na drugą, służą różne urządzenia, z których najważniejsze zwie się *zwrotnicą* (weksel). Za jej pomocą szyny wewnętrzne przysuwają się lub odsuwają od zewnętrznych i skierowują pociąg na inny tor.



Krzyżowanie się relsów.

Do składu drogi żelaznej należą jeszcze różne budynki i urządzenia, potrzebne raz ze względu na pasażerów i towary (stacje, magazyny i t. p.) oraz na prawidłowość i bezpieczeństwo ruchu, (pompy, domy dróżników kolejowych, szlabany przy przejazdach, telegraf, sygnały i t. d.)

We wszystkich tych urządzeniach każdy rok niemal przynosi znakomite ulepszenia, a banhofy, zwłaszcza w wielkich miastach wyglądają, jak olbrzymie pałace ze wspaniałymi salami, restauracjami i ogromnymi halami oszklonemi, w które wjeżdżają pociągi pasażerskie.

Największą trudność przy budowie drogi następczą nierówności gruntu i rzeki.

Jeżeli grunt się obniża, wówczas zjawia się konieczność budowania dużych nasypów; jeżeli głębokość jest znaczna, jeżeli się trafi na drodze parów lub dolina, wówczas budują *windukty*, przez błota zaś i bagna sypią *groble*. Przeciwnie, jeśli wytknięta droga trafi na wyniosłości, wówczas przekopują wąwozy, a przez wysokie góry przeprowadzają *tunele*.

We wszystkich przedsięwzięciach tego rodzaju widziemy w porównaniu z dawnymi czasy olbrzymi postęp. Przed laty pięćdziesięciu inżynierowie nie odważyliby się projektować tunelu dłuższego nad kilometr, dla tego, że nie mieli narzędzi odpowiednich do mierzenia i kruszenia skał. Dziś technika nie cofa się przed żadnymi trudnościami, byle rozporządzano potrzebnymi funduszami.

Jednym z najpierwszych arcydzieł sztuki inżynierskiej był tunel pod górą Cenis, łączący Francję z Włochami. Tunel ten budowano ośm lat; ma on 12 kilometrów długości. Niemałe usługi oddał tutaj proch strzelniczy, a zwłaszcza dynamit, rozkruszający z olbrzymią siłą skały najtwardsze.

Kilkanaście świderów, poruszanych ścieśnionem powietrzem, albo też dłut stalowych, wierci w skale dziury wąskie i głębokie, na parę stóp jedne od drugiej i w otwory te wkłada się naboje dynamitowe, i następnie podpala się je równocześnie za pomocą iskry elektrycznej.

Następuje straszna eksplozja i ścianki, oddzielające otwory, pryskają w drobne okruchy, które usuwają z tunelu. W ten sposób trzeba pracować lata zanim obie połowy tunelu, rozpoczętego z przeciwległych stron góry, nie spotkają się z sobą.

Użycie materiałów wybuchowych, pomimo środków ostrożności, sprowadzało straszne katastrofy; dziesiątki nieszczęśliwych robotników straciło życie albo poniosło kalectwo, zanim wykończono tunel Cenis.

Tunel przekopany pod sławną górą Saint Gothard mierzy aż 15 kilometrów długości; pociąg osobowy jedzie wśród straszego szumu i wśród ciemności, rozpraszanych zrzadka

rozstawionymi latarniami, całe 20 minut, zanim się przedostanie na przeciwległą stronę granitowego kolosu.

Z powodu twardości skały musiano używać prawie wyłącznie dynamitu; zużywano od 15—20 tys. kilogramów miesięcznie tego materiału wybuchowego, t. j. 200 tys. kg w ciągu roku; sam dynamit kosztował prawie 4 miliony franków na cały tunel.

Wiekopomnem dziełem będzie tunel Simplonski; ma on 20 kilometrów długości gdyż leży tylko o 705 m. nad poziomem morza, u samego podnóża góry. Wiadomo, że w miarę zagłębiania się w łono ziemi, temperatura wzrasta; to samo dotyczy gór; w środku tunelu Simplon panowałaby zabójcza dla zdrowia temperatura 40°, gdyby nie sztuczne ochładzanie przy pomocy wody, rozpylonej przez powietrze, pod wysokim ciśnieniem. Dzięki temu sposobowi w tunelu termometr wskazuje tylko 15° C.; robotnicy cieszą się dobrem zdrowiem, podczas gdy dawniej chorowali wszyscy na niedokrwistość.

Obecnie wiercą pojedynczy tunel, z jednym torem długości 19730 m.; kiedy go ukończą, wezmą się do przeprowadzenia drugiego tunelu, równoległego biegnącego w odległości 17 metrów do pierwszego. Obie galerie będą połączone poprzecznymi korytarzami.

Dla poruszania maszyn wiertniczych, wagoników i innych prac, potrzebna jest siła mechaniczna, której w ilości 2000 koni parowych dostarcza rzeka Rodan. Do robienia otworów na dynamitowe ładunki używają świderów stalowych, obracających się z szybkością 5—10-ciu obrotów na minutę, cylindrowe wgłębienie mieści kilkanaście kg. dynamitu lub żelatyny wybuchowej (mieszanina nitrogliceryny z bawełną strzelniczą). Naboje środkowe wybuchają najprzód i robią wyłom, który następnie pozostałe naboje powiększają. Świdry wiercą 8 dziur obok siebie, co wymaga 2—3 godzin czasu.

Celem ułatwienia w usuwaniu pozostających skutkiem wybuchu okruchów, naczelny inżynier Brandt, zbudował grubą żelazną rurę, mierzącą 100 m. długości a 20 cm. średnicy; rura ta jest rezerwoarem, w którym nagromadzą się powietrze pod ciśnieniem 100 atmosfer. Obok tej rury, równoległe bieży druga podobna, napełniona 3000 kg. wody. W chwili wybuchu min, otwierają rezerwoar z powietrzem, które wyrzuca z wielką siłą wodę z drugiej rury; woda porzywa okruchy skalne z miejsca eksplozji i odrzuca je na dużą odległość, tak, iż górnicy mogą bez przeszkody wiercić dalej otwory; inni robotnicy ładują odłamki splukane wodą i wywożą je z tunelu.

Szereg operacji: mianowicie mierzenie otworów w skale, zakładanie min i wybuch nazywa się atakiem; od tego, ile takich ataków można wykonać w ciągu doby, zależy szybkość roboty. Jeden atak przysparza na metr albo półtora tunelu i trwa parę godzin; łatwo więc obliczyć, ile lat trzeba, żeby w ten sposób przebić w skale galerie na 20 kilometrów długości.

Na naszych równinach, gdzie niema gór wysokich, tuneli, ani wiaduktów prawie niema. Jeden tylko na kolei Dąbrowskiej, niedaleko Miechowa, jeden pod Landwarowem w górach Ponarskich, ale stosunkowo krótkie. Za to obfitość łąk i błot zmuszała często do sypania długich grobli i nasypów.

Powodzenie w przeprowadzeniu długich tuneli górskich, ośmieliło inżynierów do budowania kolei *podziemnych* pod ulicami wielkich miast, dla ułatwienia komunikacji mieszkańcom, bez tamowania ruchu ulicznego. Pierwszy Londyn zdobył się na taką koleję, a obecnie posiada ją Berlin i Paryż.

Stacje na tych kolejach są to właściwie studnie, które podróżni schodzą do tunelu. Podajemy tu rycinę, przedstawiającą przecięcie kolei podziemnej w Berlinie. Budują też w niektórych miastach (New-Yorku), koleje na wysokich słupach ponad ulicami.

Ale koleje żelazne nietylko zwyciężyły przestrzeń w kierunku poziomym, równym, w górzystych okolicach zwłaszcza w Szwajcaryi są kolejki pnące się niemal na szczyty olbrzymich gór, gdzie przedtem tylko doświadczeni przewodnicy górscy i dzielni turyści umieli się wdrapywać.

Są to tak zwane koleje zębate, gdyż posiadają oprócz zwykłych relsów, jeszcze rels trzeci ze szczeblami, o które zaczepiają specjalne zębate koła lokomotywy i wagonów.

Bez takiego urządzenia najsilniejsza maszyna nie mogłaby się ani sama wspiąć w górę, ani pociągnąć wagonów, gdyż tylko niewielką pochyłość po zwyczajnych relsach przewycięzać może. Podajemy tu rycinę budującej się obecnie kolei zębatej na Jungfrau, najwyższą górę Alp Berneńskich.

W ostatnich czasach zbudowano kilka bardzo stromych kolejek, prowadzonych w prostym kierunku na szczyt gór. Lokomotywy nie kursują po nich, gdyż nawet przy pomocy zębatego koła nie mogłyby dźwignąć się w górę, ale wagony ciągnie mocna lina z plecionych drutów, biegnąca wzdłuż toru. Jeden wagon po prawym torze wchodzi się pod górę, drugi po lewym zjeżdża na dół. Motor elektryczny nadaje ruch linie. Podajemy rysunek, przedstawiający taką kolejkę na górę Stanserhorn nad jeziorem 4 kantonów Szwajcaryi. U szczytu (1900 m.) wznosi się wspaniały hotel.

W następnych rozdziałach pomówimy o mostach, kanałach i balonach.

## PANICZYK

przez

S. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— A ten most dokąd prowadzi?

— Na przedmieście, Pragę, które jest po lewej stronie Wisły.

— Jaki ten most mocny, chyba nigdy się nie zawali, a dawno on stoi? — pytał Józio.

— Nie tak bardzo dawno, skończony dopiero 1864 r.

— Oh, to już bardzo dawno!

— Tak, ani mnie ani ciebie jeszcze na świecie nie było, więc na obu zdaje się, że to dawno, lecz dla mostu to bardzo niedawno, bo wszelkie budowle powinny być trwałe, istnieć wieki, ażeby o pracy i cywilizacji ludzkiej świadczyły — objaśnił Wiński.

— Którędy oni pod most schodzą? — zapytał Józio, wskazując rozmaitych ludzi, kręcących się jak mrówki nad brzegiem Wisły.

— Rozmaitemi drogami i przez most, który się opiera na drugim brzegu Wisły i od strony Pragi i oto przez tę uliczkę, którą cię poprowadzę. To mówiąc skierował się w stronę Nowego Zjazdu, wiodącego do mostu.

Rój ludzi spieszył mniejszymi i większymi koczami i taczkami; jechały też wozy próżne lub naładowane cegłą, kamieniami, piaskiem lub innym jakim ciężarem. Cała ta ludność biedna, brudna, obdarta, zmęczona, spieszyła, potracając się wzajemnie, nie zwracając na nic i na nikogo uwagi.

Wisła swoim szerokim korytem toczyła się powoli, obojętnie, wyrzucając niekiedy z brudnej swej wody żółtą skłębioną pianę, lub obnażając ławiny piaskowe.

A na jej szarych wodach kołysał się w dali, zięjący dymem statek parowy, pruły powierzchnię mniejsze i większe łodzie, lub posuwała się leniwo tratwa. Na gabarach tuż przy brzegu czerwieniły się lub połyskiwały w słońcu stosy zielono-złotych jabłek, złociły się wydęte, podługowate lub okrągłe gruszki i mieniły fioletowo-purpurowe, wysypwane z beczek śliwki. Około brzegu uwijały się kobiety i mężczyźni z wielkimi koszami, worami i ręcznymi wózkami. Klócono się, popychano, a przywieziony z dalekich stron owoc przechodził do rąk przekupniów, którzy wśród wrzasków i krzyków, odchodzili z trymfem, obliczając zyski na zakupionym towarze. Przy tej całej pogoni jakaś kobieta o mało nie wpadła do wody, jakiś chłopak osunął się z pomostu łączącego gabar z pobrzeżem.

— Utonie, utonie! — krzyknął ktoś z brzegu.

— Ratujcie go! — dodał inny.

Lecz chłopak stanął na rękach, pogniósł głowę, zatrzepotał w górze wzniesionymi nogami, prychnął jak kot, gdy go obległa woda, wyrzucił koziołka i podniósłszy się, stanął zadowolony z tej błotnistej kąpieli.

Wśród tego szarego, brudnego tłumu, jakaś pani z dwoma chłopcami w bluzach i czapkach gimnazystów, usiłowała się przecisnąć do gabarów, nęcących stosami owoców. Wszycy troje mieli kobiałki.

— Może to moi przyszli koledzy; zwłaszcza ten starszy — rzekł Józio, wskazując na gimnazystów.

Tymczasem przekupnie, ujrawszy panią z synami, poczęli obrzucać ich najobelżywszymi wyrazami. Najmniej zajadli krzyczeli:

— Jaka mi, wsadziła kapelusz, a na kupienie owoców w mieście niema pieniędzy.

— Precz stąd!

— A gdzież to jejmość w kapeluszu stragan swój ustawia?

— Wstyd dla takich państwa przychodzić na gabary!

— Nie szcędzono przytem szturchańców.

Lecz pani nie zważała na to, owszem, wejrzeniem uspakajała synów, ażeby nic nie odpowiadali. Starszy zagryzłszy wargi jak mógł, robił miejsce matce, młodszy tłoczył się za nią.

— Po co taka pani przychodzi tutaj, przecież i w mieście dostanie owoców! — rzekł Józio z politowaniem.

— Zapewne musi oszczędzać się, naraża się więc na wymysły i szturchanie, aby kupić owoców taniej i dać synom na drugie śniadanie — odrzekł Wiński.

Józio chrząknął i pomyślał sobie:

— Żeby tak w Chrustowie, mama dałaby im pełne kosze! — Wychowany w dostatnim domu, odsunięty od wszelkich postronnych wpływów, nie zetknął się jeszcze ani z widokiem ciężkiej, mozolnej pracy, ani z troską o grosz i kawałek chleba.

Widział wprawdzie pracujących wieśniaków, lecz praca ich była codzienna, spokojna, bez gwałtownej gonitwy i ubiegania się o grosz, o który tutaj najwidoczniej każdemu chodziło. I ojciec jego pracował i matka zajmowała się gospodarstwem, mieli swe troski, lecz życie szło równo; dostatnio, wesoło; nikt nikomu niczego nie zazdrościł i nie wyrwał z rąk kawałka chleba. Tutaj otwierały mu się oczy na tę przykrą stronę życia, jakaś nowa komórka w jego mózgu poczyniała się odchyłać, a jednocześnie na serce padał ucisk i smutek.

Gwar, krzyki oszołomiły go zupełnie i zasłaniały przed nim miasto z jego pięknymi gmachami, wystawami sklepów i tym wesołym ruchem, który go zajmował.

— Tutaj tak jakoś inaczej, nie tak jak na wsi, i nie tak jak tam, w mieście — rzekł z jakimś wewnętrznym przynębieniem.

— To już przedmieście, zbiera się tu najbiedniejsza i najbrudniejsza ludność — odrzekł korepetytor. — Spójrz, to ci przypomni wieś i wyspę na stawie w Chrustowie — dodał, wskazując w dal ręką.

Do art. „Koleje żelazne.”



Budowanie nasypu.

Józio zwrócił wzrok w wskazane miejsce i ujrzał kępę drzew jakby wyrastających z wody, po której słońce ślizgało się złotemi promieniami, uwydatniając wylaniającą się zielen. W górze stado gołębi szarzało wśród promieni słonecznych, po wodzie uwijały się łodzie, mknąc ku tej zieleni.

— To Saska kępa, miejsce letnich wycieczek Warszawian.

Lecz krzyk, pisk, turkot, nawoływanie, szum wody, gwar dochodzący aż tutaj z oddalonego miasta i wszystkie te głosy zmieszane razem, uniemożliwiły wszelką rozmowę. Pobrzeże Wisły z całym tym tłumem staowało się wprost nużące.

— Wracajmy — rzekł korepetytor, widząc przygnębienie w oczach chłopca.

Józio nic nie mówiąc, zwrócił się, biorąc pod rękę Wińskiego.

— Co oni tam robią! — zawołał, wskazując na gromadkę dzieci i wyrostków bawiących się pod parkanem, na jakichś gruzach czy rozwalinach, pełnych śnieci i rozmaitych odpadków.

— Bawią się i wygrzewają na słońcu!

— W takim błocie! — zdziwił się Józio, spoglądając z politowaniem.

Wtem jakiś chłopak znalazł kość i zaczął ogryzać przyschnięte na niej żyły, inny rozgniatał przegniłą marchew i pakował ją do ust z chciwością. Józio ze wstrętem odwrócił oczy i przyspieszył kroku.

— Paniczu, od dwóch dni niceśmy nie jedli; matka leży chora — ozwał się piskliwy głos tuż obok niego.

I brudny, chudy wyrostek, ciągnąc za sobą mniejszą nieco dziewczynę, dreptał ulicą przy wązkim chodniku, powtarzając swą prośbę.

Józio chciał wyjąć portmonetkę i sięgnął już do kieszeni, lecz Wiński zatrzymał go:

— Nie dawaj, wstąpimy do sklepiku i kupimy im chleba. — Pójdźcie za nami, dostaniecie chleba i kaszy — dodał.

Józio wyjął rękę z kieszeni, mały żebrak błysnął oczami, aż mu sine białka wyjrzały; dziewczyna ukradkiem spoglądała z pod brudnej chusteczki, śpiesząc wraz z bratem po obiecany datek.

Sklepik z wiktuałami był o kilkanaście kroków. Wiński idąc wypytywał:

— Jak dawno matka chora?

— Oh, dawno, bardzo dawno!...

— A ojca nie macie?

— Nie!

— Co się z nim stało?

— Utonął we Wiśle! — odparł płaczliwie.

— Dawno?

— Jeszcze na roztopach! — wyręczyła go dziewczyna, przysuwając się do idących.

— Gdzie mieszkacie?

— Na Browarnej pod piątym — rzekł chłopiec, potykając się, przyczem popchnął siostrę tak, że ta chcąc uchronić się od upadku, chwyciła się ręką poły Józia.

— Jak się nazywasz? — pytał dalej Wiński.

Lecz chłopak, jakby nie rozumiał pytania, przyspieszył tylko kroku, ciągnąc za sobą dziewczynę.

— Jak się nazywasz? — powtórzył.

Chłopak spojrział znów na niego i nic nie odrzekł.

— Katarzyna Balcik! — wyręczyła go, szepłeniąc siostrze.

— Proszę o bochenek chleba i kwartę kaszy! — rzekł Wiński, wchodząc do sklepiku.

— Jakiej? — zapytała stara kobiecina, wychodząc z brudnego, ciemnego kąta.

— Jakiejkolwiek!

Staruszka mierzyła krupy trzęsącymi się rękami, spoglądając na niezwykłych gości, a Józio sięgając po portmonetkę, spytał:

— Ile się należy?

Nagle jednak zaczerwienił się i rzekł przyciszonym głosem:

— Zgubiłem portmonetkę!

— Kiedy? — zapytał Wiński.

— Nie wiem, miałem ją jeszcze, gdy chciałem dawać tym dzieciom.

I spojrzął na ulicę, gdzie owi biedacy zostali, oczekując na datek.

Wiński wyjrzał również.

— Już ich nie widać — rzekł.

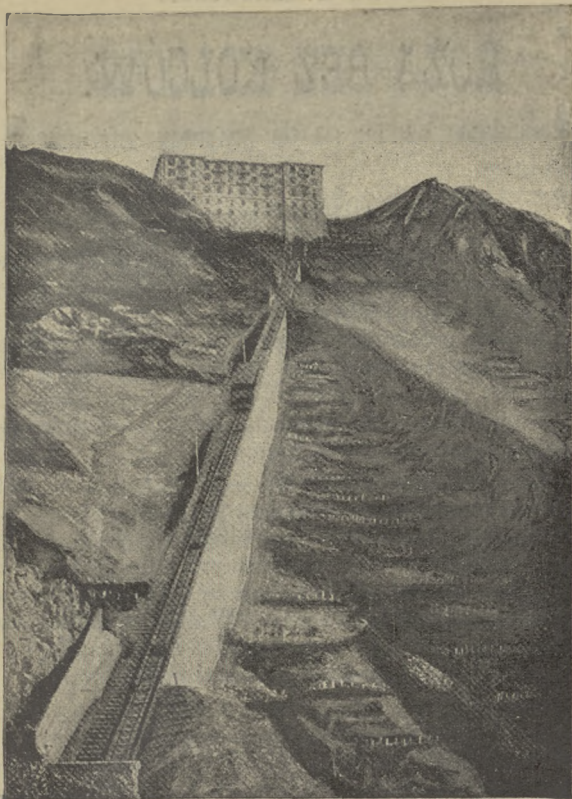
(d. c. n.)

Do art. „Koleje żelazne.”



Układanie relsów.

Do art. „Koleje żelazne.”



Kolej linowa na szczyt Stansenhorn.

## Z dziennika Janka Ż.

Na rzece Pomarańczowej, 28 października 1900 r.

Żyję! ocalał nawet zeszyt zabrany z redakcji w Johannesburgu. Zeszyt to gruby, zaopatrzone w dobry ołówek. Ołówek zatemperowałem kordełasem, łódź płynie równo po szeroko rozlanych falach rzeki, mogę pisać chociażby całymi dniami, a jedyna to moja rozrywka, jedyna możliwość ukojenia tęsknoty do ojca i do was, koledzy.

Opatrzność, która miłosiernie wiodła mnie dotąd, sprawiła, że po wstrząśnieniach doznanych w ostatnich miesiącach odpoczywam na spokojnych wodach Oranii. Zdawało mi się chwilami, jakgdybym tracił już zmysły wśród okropnych wrażeń, od nieustannych potyczek i klęsk, jakie spotykały Burów we wrześniu, teraz wracam powoli do równowagi, i doznaję nawet chwilami radości z życia, chociaż myślałem, że nigdy już nie potrafię się otrząsnąć z przygnębiających wspomnień krwi, śmierci i pogromu. Ale jakże nie odczuć ukojenia, kiedy trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego nad tegoroczną wiosną: natura odkwita bujnie na świeżych mogiłach, brzegi Oranii zielenią się różnaitością różnorodnych liści i traw, od ciemnych, czarnych prawie, do szmaragdowych i seledynowych, a tak jasnych, że kolor ich zdaje się zlewać z falami rzeki. My, mieszkańcy północy nie mamy pojęcia o bogactwie południowej roślinności. Tu każde drzewo dźwiga na sobie zwoje pnących się lian, liany okryte kwiatami przerzucają swe zielone pędy od pnia do pnia, wygląda to jakby ubrano brzeg rzeki festonami barwnych bukietów, na wielką i radosną uroczystość. Niestety, niema komu świętować

razem z odrodzoną naturą, cieszy tylko nią oczy wasz kolega, a jak nie ma podziwiać uroczych widoków, kiedy w tej chwili naprzykład przepływa około wzgórz pokrytych bukietami czerwonej pelargonii. Zdawałoby się, że ze skał płynie krew, której tyle rozlano w Transwaalu i Oranii, odwracam też głowę od jaskrawych kwiatów, a wolę patrzeć na olbrzymie agawy i na różowe kaktusy, strzelające kolczastymi gałęziami na wybrzeżu rzeki.

A i ta rzeka jakże jest majestatyczna swą wielkością. Orania, po Holendersku *Oranje Rivier*, a w narzeczu Zulusa mego przewoźnika *Garit*, ma przeszło dwa tysiące kilometrów długości, powstaje zaś z dwóch dopływów *Nu Garit*, czyli rzeki Czarnej i *Gei Garit*, czyli rzeki Niebieskiej. Oba biorą początek w górach Drakenbergskich. Kierując się ku północy, a następnie na zachód, wody tej wielkiej rzeki stanowią najprzód granice między Kaplandem i rzeszą państw Orańską, potem przeryniają ziemię Betschuanów sokołowanych przez Anglię i dążą do oceanu Atlantyckiego, gdzie wpadają między 28 a 30 stopniem szer. połud. Ze zaś, jak wiecie zapewne koledzy, wyspa Świętej Heleny leży między 10 a 20 stopniem, więc pojmiecie łatwo dlaczego każde poruszenie wiosła sprawia mi roskosz, dlaczego wyglądam z utęsknieniem chwili, kiedy ujrzę ujście Oranii, które mówiąc nawiasem jest podobno pięć kilometrów szerokie i tak zamulone piaskiem, zawleczonym falą, że łódź z trudnością przedostaje się na pełny ocean.

Łódź nasza jest wprawdzie bardzo lekka, a bardzo mocna, ale ma ładunek, którego nie mogę lekkomyślnie narażać na rozbicie. Niedaleko jednak ujścia Oranii jest

Do art. „Koleje żelazne.”



Kolej zębata na Jungfrau.

port Nolloth, tam według wskazuwek danych przez generała de Wetta mam wsiąść na okręt, który zabiera mnie i skrynkę ukrytą w podwójnem dnie łodzi.

Może nie powinienem pisać o tem co się znajduje w skrzynce, bo przecie to nie jest moja tajemnica, ale z drugiej strony, chociażby nawet Anglicy pochycili ten dziennik, wątpię, aby łatwo znaleźli człowieka, umiejącego po polsku. Nim jednak odkryję wam, koledzy, powierzony mi sekret, muszę wrócić do ostatniego listu, bo od wysłania go tyle widziałem czynów bohaterskich, że choć niepotrafię ich opowiedzieć tak, jakby to zrobił człowiek starszy, powtórzę wiernie wszystko, na co patrzyłem własnymi oczami, żeby dać świadectwo waleczności Burów. Im więcej doznaję przygód, tem więcej rośnie we mnie nadzieja powrotu do was, koledzy, i do kraju. Mogłem być sto razy zginąć od roku, a jednak żyję, jestem zdrow, rany moje zagojone i teraz nic już nie stoi mi na przeszkodzie w podróży, nic mnie nie wiąże z Afryką, nie jestem nikomu potrzebny, odkąd mój drogi przyjaciel... odkąd Robert Burns nie żyje!

Jak to ciężko napisać: nie żyje! A jednak patrzałem na jego śmierć, patrzałem jak wsiąkała krew młodzieńca w tę ziemię Transwaalską, którą Robert tak ukochał. Burowie, trzy razy wypędzani ze zdobytej na Afrykańskim brzegu ojczyzny, bronią zażarcie jej kresów, bo nie mają już gdzie *treckować* i nie chcą wyrzec się niezależności! Anglia, jak tu fermerzy powiadają, nie będzie mogła ich strawić.

Dziś 28 października, kościół obchodzi uroczystość Świętego Tadeusza, a to dzień imienin mego drogiego ojca. Przesłałem mu myślą powińszowanie, bo płynąc między krajem Griqua, a krajem Korana, niepodobna marzyć o wyprawieniu listu. Kraj Griqua, kraj dyamentów, ileż myśli nasuwa mi ta nazwa. Gdyby nie kopanie dyamentów nie byłoby wojny, a przytem czy pamiętacie, koledzy dom misjonarzy w Emaus? Przepływam niedaleko od tych stron i wspomnienie więzienia, które dzieliłem z Robertem, nie opuszcza mnie ani na chwilę, mój szlachetny, odważny Robert!

Ale wracam do imienin ojca, ostatni list do tatki wysłałem z Hoptown, miasta leżącego na granicy Oranii. Handlarz, od którego kupiłem trochę żywności, podjął się wyprawić moją korespondencję. Uwiadomiłem w niej mego ojca o mojej podróży, korytem rzeki Pomarańczowej, lecz on także nie domyśla się, że tak ważne dano mi zlecenie. Biedny ojciec! jakże smutne ma imieniny, jakże inaczej spędzaliśmy je w Warszawie za życia mamy. A chociaż to już tak dawno minęło, zdaje mi się czasem, że widzę dwupiętrową kamienicę, w której mieszkałem z rodzicami. Czy rośnie na jej dziedzińcu akacja? czy sypie z wiosną białe kwiatki na bruk podwórza? Ja te kwiatki nosiłem mamie, a ona mówiła, że podobne są do motylek i wachała delikatne płatki rośliny.

Hej! hej gdzie ta przeszłość, gdzie Warszawa? Roją się po niej uczniowskie i studenckie mundury, Jaguar, Kolnik, tylu innych moich kolegów chodzi do szkoły, ja tylko tracę czas beczynnie i nie wiem, kiedy będę mógł znów zacząć pracować. Poczesa mnie jednak myśl, że jeśli przez ten rok zaniedbałem książki, to rozwinąłem się fizycznie, urosłem, zmężniałem, a przytem nawykłem radzić sobie w wielu niebezpieczeństwach; przeszedłem jednym słowem taką szkołę, do jakiej wy, koledzy, nigdy zapewne chodzić nie będziecie. Wy słuchacie wprawdzie uczonych wykładów, ale ja widziałem czyny żywych bohaterów i nie chwalać się brałem nawet udział w ich wyprawach. Więc chociaż nie uczą mnie historii, wiem teraz co to Hannibal, Epaminondas lub Tell, obcowałem z generałem de Wettem.

(d. c. n.)

Zofia Urbanowska.

## RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg)

— O, ty dzieciaku! on jest tak bogaty, że wszystkie skarby nagromadzone przez zbójników, nie stanowią nawet dziesiątej części jego fortuny.

— Biedny człowiek! — szepnął chłopiec z westchnieniem — a jednak te wszystkie miliony nie mogą mu dać szczęścia!

— Jego Dostojność prosi na obiad — odezwał się Jerry, ukazując się we drzwiach namiotu.

— Do widzenia Henryku — rzekł Jakób wstając, a chłopiec znudzony długą rozmową przymknął oczy.

Warburton zauważył przy obiedzie, że mały hrabia jest dziwnie chmurny i roztargniony. Odpowiadał monosylabami i jeść nie chciał, pomimo że dziadek łaskawiej się do niego odzywał, niż zazwyczaj. Walter widział nawet że chwilami połykał łzy. Ale gdy baronet kazał mu aby rano następnego odwiedził, wstał posłuszny i udał się do namiotu.

Nim wszedł, stał przez chwilę u wejścia i patrzył: Henryk leżał na posłaniu dziadka, zajmował jego miejsce, a widok ten wzburzył wszystką krew apatycznego chłopca. Ugryzł go wąż zazdrości. I gdy Henryk, zbudzony szelestem, uśmiechnął się na widok Dawida, a zapomniawszy o okazywanej mu niechęci, przyjaźnie wyciągnął do niego rękę, mały hrabia zaledwie jej dotknął końcem palców.

— Dziadek mi kazał tu przyjść — odezwał się, tłumiąc gniew — więc jestem mu posłuszny, ale wiedz że nie uczyniłbym tego z własnej woli. Zresztą, i ty zapewne nie dbasz o niczyją uprzejmość, w obec jawnie okazywanych względów Jego Dostojności, pana na Rochdale,

Henryk poczerwieniał. Czuł instynktownie, że w słowach Dawida kryje się jakaś złośliwość, ale nie dorozumiewał się intencji, ani odgadywał do czego zmierza.

— Nie wiem co chcesz przez to powiedzieć — odrzekł, podnosząc się na łokciu — proszę się jaśniej tłumaczyć.

— Doprawdy? — podchwycił z ironią Davy — widzę że Polacy są bardzo niedomyślni! A jednak dla nikogo z uczestników wyprawy nie jest tajemnicą, że sir Warburton obdarza cię łaską wyjątkową.

Wyraz „łaska” ubódi do żywego dumnego chłopca.

— Co chcesz powiedzieć przez ten wyraz „łaska?” — zapytał drżącym głosem. — Sir Edward jest dla mnie bardzo dobrym i umiem cenić przyjaźń, którą mi ofiarował, ale „łaska” jego nie potrzebuję.

Mały hrabia jął się śmiać złośliwie.

— Przyjaźń! ha, ha, ha! dobry sobie! Przyjaźń jednak wielkiego pana mającego ćwierć miliona funtów rocznego dochodu, coś znaczy dla takiego jak ty hołsza.

— Więc przypuszczasz... że ja... staram się...

— Wkraść w jego łaskę? A naturalnie! Ten bohaterski czyn z niedźwiedziem w grotach doliny Kościeliskiej, to szukanie róży bez kolców, ta przygoda z orłem, wszystko jest obliczone na to, żeby stary...

— Dosyć, panie hrabio! — zawołał z oburzeniem Henryk, a krwawe wypieki uderzyły mu na twarz — ani słowa więcej! Kocham i szanuję sir Edwarda, i nie pozwolę aby w mej obecności wyrażano się o nim w ten sposób! Widzę że przyszedłeś tu po to jedynie, żeby mnie znieważać. Wyjdź proszę!

I wyciągnął rękę w kierunku wyjścia z gościem rozkazującym.

— To ty sobie idź stąd — krzyknął ze złością Davy — ty bohaterze w wytartym ubraniu! Ja tu jestem u siebie.

— A, prawda — odrzekł chłopiec słabym głosem — masz rację; to ja powinienem stąd odejść, aby dalszych obelg uniknąć.

Podniósł się na łóżku, ale zamroczyło mu się w oczach. Zebrał wszystkie siły, dźwignął się, i upadł na ziemię zemdlony.

— Do licha! — mruknął Dawid — zdaje mi się że przeholowałem; on widać naprawdę chory...! Zawsze mi zarzucają wszyscy brak energii... raz się na nią zdobyłem, i masz! Co tu począć? dziadek gotów zrobić mi awanturę... A znów nie można go tak zostawić!

Wychyliwszy się z namiotu, zobaczył dziadka idącego na spacer na grzbiet Koszystej, a Jakób zbierał na skałach mchy i układał do puszeki. Davy zbliżył się doń nieśmiało i oświadczył że Henrykowi zrobiło się słabo, a gdy doktor natychmiast do niego pospieszył, zaczął doświadczać wyrzutów sumienia połączonych ze strachem, aby rzecz się nie wydała.

Gdy Warburton powrócił z przechadzki zdziwił się niezmiernie ujrawszy pustkę w namiocie: Henryk leżał w schronisku, a na zapytanie baroneta o przyczynę, oświadczył doktor, że chłopiec prosił o przeniesienie go, nie chcąc zajmować dłużej miejsca sir Edwardowi, potrzebującemu także wypocząć. Dawid który drżał ze strachu o siebie, nie widząc żadnej zmiany w obejściu dziadka, odetchnął.

— No — myślał — to jakiś porządny facet! bo gdyby mnie był oskarżył przed starym, dostałoby mi się dopiero!

## XXII. Przygoda Warburtona.

Godziny mijaly a profesor nie wracał. Noc zapadła, a choć niebo iskrzyło się milionami gwiazd, choć góry ukazywały się w cudownym oświetleniu księżycowem, przysłaniane raz po raz gazą obłoków przejrzystych, nikt nie został pod gołym niebem, nawet Witold, choć odczuwał piękno natury jako człowiek ukształcony i jako artysta. Wszyscy strudzeni chodzeniem i doznaniem wrażeń, przespali noc całą jak zabici. Spodziewano się Stranda zrana na śniadanie, ale nie przybył. Czekano do południa, wstrzymywano się z obiadem, wreszcie wszyscy przyszli do przekonania, że poszedł inną drogą do Morskiego, oka. Warburton żałował niezmiernie iż ubył mu miły towarzysz podróży, ale sam przyznał, że niema co czekać dłużej, zwłaszcza iż Henrykowi rana nie dolegała i oświadczył, że może puścić się w drogę. Zwinięto namiot, spakowano bagaże, baronet jednak zwlekał aż do zachodu słońca, spoglądając raz po raz w stronę Stawów Gąsienicowych, skąd mógł pojawić się profesor.

Jakób powiedział Walterowi, że w kieszeni Stranda, do której łagodny ten człowiek tak energicznie bronił dostępu, musi się znajdować jakaś ważna tajemnica. Zeszedł go bowiem przypadkowo w chwili, gdy stojąc nad tą samą rozpadliną w której Henryk widział zaczarowane klejnoty, zagłębił rękę do kieszeni coś z niej wyjmując, jakby chciał ukryć w owej rozpadlinie. Ale gdy spostrzegł że ma świadka, wsunął wyjęty przedmiot napowrót do kieszeni, i mocno zaczerwieniony szybko się oddalił.

Dało to wiele do myślenia Walterowi, ale odgadnąć nie mógł, coby to było. Przypuścili do sekretu Warburtona lecz i ten także nie wiedział, jak to sobie tłumaczyć. Wszystkim wydało się to bardzo dziwne i niezgodne z dotychczas wyrobionem pojęciem o charakterze uczonego Stranda. Witolda nie było przy tej rozmowie.

Słońce ubrało szczyty w purpurę i fiolet i poczynalo kryć się za góry, a profesora jak nie było tak nie było. Na znak dany przez Warburtona ruszono w drogę, ale przedtem użyto umówionego sygnału: wystrzelono z fuzji, a echo tego strzału, jak szmer dźwięcznych metalicznych pereł obiegło góry dookoła. Sir Edward słuchał z widoczną przyjemnością tego echa, a oto powstał jakiś szmer i łoskot i rumor kamieni. Na stromej pochyłości, ścieżką utworzoną przez potok, sunął jakiś kłęb tajemniczy:

koziółkował, a nie można było zrozumieć co to jest, bo zbyt odległe było, i leciało coraz prędzej według praw ciężkości.

— To koza dzika spada ze szczytu skały — rzekł jeden z przewodników.

— A może człowiek! — szepnął Henryk, którego dreszcz przeszedł.

— Ej, nie, to koza — potwierdził Jakób — bo właśnie ów kłęb dobiegłszy do dna, beknął śmiertelnie.

— Przekonamy się o tem, gdy staniemy na dole — powiedział Witold, ale jeden z górali, ciekawy co to było takiego, zbiegł naprzód, zsuwając się szybko na dół. Miejscami czepiał się grani rękami, miejscami zsuwał się w siedzącej postawie po gładkim mchu, wstrzymując szybkość jazdy wysuniętem naprzód ostrzem ciupagi. Henryk przy patrząc się temu, rzekł:

— Zdaje się że zejść stąd niepodobna, tak przepaścista i stromą wydaje się ta droga, a widząc tego górala, można by wnosić, że to tylko zabawka!

— Nie jest to zabawka, ale skała też nie tak stroma i przepaścista jak się zdaje, skoro ludzie tędy chadzają. Cała rzecz w tem, aby się nie bać i stąpać śmiało, choć bacznie i ostrożnie. Zresztą — dodał, patrząc na śmiertelnie zbladłego Dawida — mamy wyborych przewodników i jesteśmy pod ich opieką zupełnie bezpieczni.

Ale uspokajające te wyrazy, nie sprawiły spodziewanego wrażenia. Mały hrabia stanąwszy nad brzegiem przepaści, ku której miał zstępować, schwyił się obiema rękami ręki Waltera, i nie chciał w żaden sposób ruszyć się z miejsca.

— Nie chcę, nie chcę, nie pójdę za nic w świecie! — wołał z płaczem — spadnę jeszcze i zabiję się jak ta koza. Ja chcę wracać do domu! Niech który z górali odprowadzi mnie do Zakopanego. Dość już mam tej zachwalanej wycieczki!

I zarył się nogami w ziemię jak dziecko uparte, gdy nie chce się dać oderwać od niańki. Ani perswazye i zachęta, ani obawa gniewu dziadka, nie mogły nic dokazać. Warburton słyszał, co się dzieje z chłopcem, ale udawał że nic nie wie; ciekawy był jak też Davy sobie poradzi. Wreszcie widząc, że coraz większym opanowany jest strachem, odwrócił się i zapytał spokojnie:

— Chcesz więc wrócić do Zakopanego, Dawidzie?

— Tak — odrzekł drżący i zdziwiony łagodnością głosu dziadka.

— Nie będę się temu sprzeciwiał, ale przypomnij sobie, że wejście na Krzyżne było także strome, i że zejście z niego do doliny Pańszczycy będzie niemniej trudne, jak zejście do doliny Pięciu Stawów. Chodźże i sam się przekonaj.

I pociągnął go na kraniec skały. Droga tam była bardzo stroma i patrząc z góry zdawała się równie trudną do przebycia jak taanta, choć nieco była krótsza.

— Wybieraj — rzekł baronet — tędy, albo tamtędy. A może wolisz zostać na Krzyżnem z góralem i czekać na nasz powrót? Ale nie mogę ci powiedzieć jak długo bawić będzie przy Morskiem Oku. A wreszcie teraz czy późniejszej, zejść trzeba.

Słowa te otrzeźwiły Dawida. Wołał już iść razem z wszystkimi, niż z samym tylko z góralelem, lub przepędzić dzień lub dwa w siedzibie orłów. Zdecydował się.

— Gdyby profesor chciał abyśmy na niego czekali, odpowiedziałby nam wystrzałem — powiedział Witold — bo wziął z sobą rewolwer. Zdaje mi się, że możemy iść.

— Idźmy — rzekł Warburton.

Góral prowadził Dawida za rękę z jednej strony, a z drugiej przewodnik podał mu koniec swojej ciupagi i kazał go się trzymać. Schodząc, mały hrabia przekonał się, że jest to wprawdzie trudne, ale nie niemożliwe. Spoglądał on z zazdrością na Henryka, idącego swobodnie, i nie tracącego na humorze, pomimo że się poślizgnął kilka razy. Goryczą też napełniały jego serce żarty górali, których nie rozumiał i przypuszczenie, że się bawili jego kosztem. Nie przyzwyczajonego do chodzenia, nogi bolały

okropnie w kolanach i wciąż zbierało mu się na łzy. Gdyby się nie wstydził, wybuchnąłby głośnym płaczem.

Słońce już skryło się oddawna: mrok osiadał na skałach a opary czołgające się po ziemi, stawały się już szare. Zdaleka widać było rozrzucone szalasy. Gdy stanęli na dole, ujrzeni u stóp skały ofiarę katastrofy: młode koźle było prawie odarte ze skóry, miało pokaleczoną głowę i całe krwią płynęło, a góral oświadczył z żalem że nie było nawet co wykroić na pieczeń.

(d. c. n.)

## ZE ŚWIATA.

Co w Chinach robią z psami.

Ciekawą anegdotę z pobytu Li-Hung-Czanga w Europie, dygnitarza chińskiego, powtarzają pisma europejskie.

Podczas pobytu swego w Anglii Li-Hung-Czang złożył wieniec na grobie chartumskiego bohatera, Gordona paszy. Rodzina Gordona, zamieszkująca Szkocję, była tą oznaką czci bardzo wzruszona, a chcąc wywdzięczyc się wice królowi, zapragnęła ofiarować mu dar jaki niezwykły. Jeden z siostrzeńców Gordona, wielki amator psów, posiadał właśnie bull-doga, premiowanego na wszystkich wystawach kynologicznych. Uważał więc za stosowne ofiarować psa tego Li-Hung-Czangowi, który już wyjeżdżał z powrotem do Azji.

Po upływie dwóch miesięcy nadeszło podziękowanie treści następującej:

„Bardzo byłem wzruszony darem, jaki mi pan raczyłeś ofiarować. Zwierzę było wspaniałe. Na nieszczęście żołądek mój nie znosi tego rodzaju pożywienia, lecz za to moja świta nie mogła się go nachwalić.

Li-Hung-Czang.”

## SZARADA.

ul. Charlemaque dla Czytelników „Wieczorów.”

*Pierwsza, druga* — zjawiska niepewne, bo sennie,  
Które prędko rozprasza jasne światło dzienne.  
*Trzecia* wstecz i wprost *czwarta* chociaż bardzo mała  
Nieraz wielkiego bólu przyczyną się stała.  
*Czwarta z pierwszej* jest wielką w Europie rzeką  
Której wody w północy z pod Uralu cieką.  
*Wszystko* czy jest wojenną czy służy handlowi,  
Zawsze nadmorskich krajów potęgę stanowi,  
Lecz się w szatę tej nazwy i ci ubierają.  
Którzy jej nie służyli i morza nie znają.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ul. Szarotka.

- 1) Nazwa ziemi przy ujściu Nilu.
- 2) Znakomity malarz polski.
- 3) Ptak z rodz. wróblowatych.
- 4) Nazwa gwiazdy porannej.
- 5) Obecna nazwa wyspy greckiej.
- 6) . . . . .
- 7) Miasto w Mezopotamii.
- 8) Bohater powieści Cerwantesa.
- 9) Prorok hebrajski.
- 10) Bohater powieści Sienkiewicza.
- 11) Rzeka piekła u star. Greków.

Rząd środkowy i środkowe litery dobranych wyrazów złożyć mają imię i przydomek jednego z Piastów.

## Od Redakcyi.

Wobec licznych zapytań naszych czytelników oznajmiamy, że

### Premium na rok 1901-y

wyjdzie w IV-ym kwartale dla wszystkich prenumeratorów „Wieczorów Rodziny,” niby rodzaj upominku gwiazdkowego.

Będzie to książka w formacie dodatku powieściowego tak, aby tworzyła nowy tom „Biblioteczki domowej Wieczorów Rodziny.”

Ze względu na to, iż w numerze w ciągu roku bieżącego zamieszczać będziemy przeważnie powieści historyczne lub z życia młodzieży naszej, wybraliśmy na premium nader ciekawe i pełne przygód opowiadanie z dalekich stron, a mianowicie z Indyi Wschodnich, z podnóża gór himalajskich, najwyższych na świecie. Książka nosi tytuł:

### „W krainie tygrysów.”

p. P. Macła

Dla nowych prenumeratorów „Wieczorów Rodziny,” pragnących posiadać I-ą i II-ą część powieści Zofii Urbanowskiej „Róża bez kolców,” drukowaną w NN. 1—51 roku 1900, zachowaliśmy pewną ilość roczników i możemy je sprzedać po rub. 3, z przesyłką rub. 3 kop. 50. (Cena zwykła rub. 4). Rocznik ten zawiera nadto: Testament dziwaka J. Verne'a, „Listy Janka Ż. z Transwaalu,” „Dzienniczek Wandzi,” „Chińczycy” i wiele innych powieści i artykułów.

Przy wszystkich reklamacjach i poleceniach prosimy o podawanie dokładne nazwiska i adresu. Drobne należności można przysyłać markami pocztowymi.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Historia środków komunikacji, przez Wł. Umińskiego (z rycinami). — Paniczyk, przez Z. Morawską. — Z dzienniczka Janka Ż. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Ze świata — Łamigłówni — Od Redakcyi. — Dodatek: Abecadło w obrazkach, Małpka (z ryc.) — Ogień i dym, wiersz przez F. Marca. — Winowajca, komedyjka w jednym akcie. — Piotruś i Basia — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka Ludwika Hauke. Довзголено Цензурою. Варшава 19 Феврала 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



## Abecadło w obrazkach.



AŁPKA.

Pewnego dnia do furtki ogrodowej zadzwonił chłopiec z katarynką, zawieszoną przez plecy i małpą na rękę. Maryuszek i Marylkę ucieszył widok ten, uprosili babunię, by chłopca wpuszczono. Chłopiec był rosły, silny, ale brudny i oberwany. Małpa nosiła wspaniałe ongi, dziś nieco przybrudzony strój, a długim ogonem wymachiwała jak szablą. Skoro usłyszała dobrze znaną sobie skocznią melodyę, zeskoczyła wnet z ramienia chłopca i zaczęła tańczyć, skakać i koziołki przewracać; a potem zdjawszy kapelusz, podeszła do dzieci i z komiczną miną, o grosik prosiła. Maryuszek dał jej srebrny pieniążek, Marylka różową, atlasową sukienkę lalki, w którą się małpa wnet ustroiła. Babcia zaś wyniosła chłopcu kubek ciepłej kawy i bułeczkę, zachęcając go do pracy, bo taki duży chłopiec powinien pracować, a nie wędrować z miejsca na miejsca i żyć z tego, co mu inni dadzą. Maryuszek, słysząc słowa babci, prosił ją, aby wskazała chłopcu Zakład ów, w którym chłopcy znajdują przytułek i zajęcie pod okiem zacnych ludzi. Próżniactwo jest źródłem wszelkiego zła. Komu Pan Bóg dał siły i zdrowie temu nie wolno uchylać się od pożytecznej, choćby najcięższej pracy.

N. Nagórna.

## Ogień i dym.

(Bajka).

— Głupi ogniu! — dym rzeczy — na co się to przyda,  
Że w rodzinnem ognisku siedzisz, choć w niem bieda?  
Na to ogień: — Mój bracie, nie rozumiesz tego,  
Bo nie znasz i nie kochasz gniazda rodzinnego!  
Szczęście moje w tem leży, by w ojczystym domu,  
Ogrzewać i oświecać — pożytek nieść komu.  
Ty wylecisz z ogniska i po świecie gonisz,  
Lekkomyślnie swe życie i czas drogi trwonisz;  
Wkrótce też próżniaczego życia chwila minie,  
I dym, wiatrem porwany, marnie w świecie zginie.

F. Marzec.

## WINOWAJCA

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dalszy ciąg).

SCENA 6-ta.

Wańdzia, Lesio, Staś, Franciszkowa.

Franciszkowa (*wpada ogromnie zirytowana -- fartuch oblanym wodą*). Panno Wańdziu, jak se szczęścia pragnę, ja dzisiaj odchodzę!

Dzieci (*wszystkie razem przestraszone*). Albo co? co takiego? znowu coś się stało?

Franciszkowa. A wszystko bez niego! żeby człowiek jak się starał, harował, zapobiegał — to, póki kocisko w domu, żadnego ładu nie będzie!

Staś. Niechże Franciszkowa mówi prędzej a porządnie: co się stało?

Franciszkowa. A juści, że powiem od samego początku: Nastawiłam se samowar, czyściutko, ślicznie — jak to ja uniem — zagotował mi się duchem, bo ja do samowarów i do pieców to takie mam szczęście jak nikt! Patrę kipi! ohwyciłam za tacę i niesę do pokoju, aż tu za drzwiami: miauu, miauu! a mnie aż w sercu zakłuło! myślę sobie! pewnie kocisko do kanarków tak miauczy, co je pani gospodyni właśnie z kłatką wyniosła na ganek. — Niema co! trzeba postawić tacę, lecieć ratować kanarki, boć przecie grzech Boskie stworzenia dać na zaturę takim smokowi. Jakem stawiała, coś mnie takiego oma-

niło z tego strachu, przez to miauczenie, że ino jednym bokiem wsparłam na stole i moja taca, bęc! razem ze samowarem, z czajnikiem na ziemię! jeszcze tylko Panu Bogu dziękować, że się nie poparzyła — tyle, że fartuch oblałam.

Wańdzia. Śliczna rzecz! a cóż będzie z herbatą?

Lesio i Staś (razem). Dziękujemy za takie ciągle wypadki z naszym podwieczorkiem.

Franciszkowa (ujmując się pod boki). A cóż to, może moja wina? ja mam być za kota odpowiadająca?

Lesio. Kot przecie tacy nie wywrócił.

Franciszkowa. Ale bez niego całe nieszczęście, potrzebował to miauczyć, żeby mnie tak zestrząszyć.

Staś. I był naprawdę koło kanarków?

Franciszkowa. Gdzie tam! tak sobie miauczał, na zbytki, a może dla tego, że go p. Jańcia na ganku zamknęła, a on do pokoju wzwyczajony, to mu się sprzykrzyło. Jakem otworzyła drzwi, a krzyknęła na niego, bo byłam w strasznej złości, to nic ino jednym skokiem do jadalnego pokoju pomknął, i już tam pewnie jakiego podwieczorku wypatruje.

Wańdzia. A cóż z naszym podwieczorkiem dziś będzie?

Franciszkowa. A ja wiem co? samowar się wylał do kropli, na drugi węgla nie mam, a zresztą kiedy by to było! Chyba p. Wańdzia naparzy z tej wody co sobie do rury na zmywanie wstawiłam; gorąciuteńka jeszcze, a ryńka była czysta jak szkło.

Staś. Dziękujemy Franciszkowej! myśmy nie przyzwyczajeni pić herbaty z rynek i garnków, tylko z samowara.

Franciszkowa (obrażona). O, z moich rynek to można złoto pić a nie herbatę! Sama wymyłam, wytarłam czystą ścierką...

Wańdzia. Nie, nie, już dziękujemy! wolimy się całkiem obejść.

Franciszkowa (z godnością). Jak się obejść, to się obejść, ja tam nie siłuję, ale wiem, że herbata z rynki jeszcze nikomu nie zaszkodziła. (wychodzi).

Lesio. Dawaj Wańdziu klucze i chodźmy przynajmniej zjeść chleba z masłem albo z powidłami. A to nas ładnie dzisiaj urządzili Franciszkowa z Mruczkiem.

Staś. Chodźmy naprawdę, bo tak mi się jeść chce.

(wychodzą wszyscy, przez chwilę scena pusta).

#### SCENA 7-a

Jańcia (sama).

Jańcia (wchodzi zapłakana; na rękach trzyma Mruczka, który ma łapki uczernione atramentem, przy przedstawieniu można atrament zastąpić sadzą — mówi przez łzy): — Mruczku, Mruczku, co ty zrobiłeś! jak ty mogłeś zrobić coś podobnego? Teraz to dopiero wszyscy będą krzyczeli gwałtu na biednego Mruczka! żebym jak chciała, to już na to nic nie poradzę. Takie śliczne biurko! ale śukno na nic — wyrzucą cię, oddadzą Bóg wie komu — już ci pewnie nigdzie nie będzie tak dobrze, jak tutaj!... (patrzy z łalem na Mruczka). Ach, żeby to się jeszcze tak ukryć dało! gdyby tak do wieczora nikt się nie spostrzegł, to możnaby myśleć, że pociemku ktobądź trącił kałama-

rzem. Dlaczego koniecznie posądzać zaraz Mruczka? Czy to on jeden chodzi po całym domu? (z namysłem). Nie ma co! trzeba koniecznie tak jakoś zrobić, żeby do wieczora nikt do salonu nie zajrzał — przez całą noc to się przecie kałamarz może nawet i sam wywrócić, np. gdy wóz jedzie ulicą, taki ciężki, że się aż kamienica trzęsie... a zresztą mogłaby i mysz dostać się na biurko i narobić całej biedy. Byle tylko nie zauważyli zaraz, i byleby nikt nie spojrzął na łapki Mruczka, bo się wszystko od razu wyda — (po chwili). A możeby go można umyć? (podchodzi do umywalni). Wody niema, ale ręcznik jeszcze wilgotny, spróbujmy (namydla ręcznik i zaczyna trzeć łapki Mruczka, po chwili, zniechęcona). Gdzie tam, nic nie puszcza! jeszcze się gorzej rozmazało! (za drzwiami słychać głosy dzieci). O mój Boże, już idą! co ja tu z nim zrobię? gdzieby go schować?... aha, już wiem! (podnosi wieko pustego kosza od bielizny i rzuca tam kota). Mruczku, siedź cicho, bo przepadniesz! (sama siada na koszu).

#### SCENA 8-a.

Jańcia, Staś, Lesio, Wańdzia.

(Dzieci wchodzą bardzo poruszone, nie widząc Jańci, mówią wszystkie razem, wymachując rękami).

Lesio (do Stasia). Mówię ci, że to nie ja — cóżbym się miał zapierać? — prawda, że zostawiłem kałamarz na biurku, ale go nie wylałem.

Staś. A więc jak nie ty, to Jańcia; ktoś przecie musiał wylać, i w dodatku tak mądrze wycierał bibułą, że jeszcze gorsze plamy porobił.

Wańdzia. Może Franciszkowa?

Staś. Ale! przecie Franciszkowa musiałaby przechodzić do salonu przez jadalny pokój, to byśmy ją widzieli.

Staś (spozstrzega nagle Jańcie siedzącą w kącie na koszu). A ty co tu robisz?

Jańcia (zmięszana, nie podnosząc się). Ja nic... ja tak tylko... odpoczywam sobie.

Staś (ironicznie). Odpoczywasz? Proszę! czy takeś się zmęczyła wylaniem kałamarza?

Jańcia (bardzo zmięszana i przestraszona). Ja?... ja?...

Wańdzia. A któżby jak nie ty? przecie nie my, cośmy cały czas byli w jadalnym pokoju, w czasie gdy ty poszłaś do salonu po atrament.

Staś (tonem głębokiego przekonania). Ależ ona, naturalnie, że ona! przecie dosyć popatrzeć na nią, żeby się domyśleć.

Wańdzia. Jak to można być taką niezgrabną!

Lesio. I ciekawym co tu teraz z tem robić? na sam przyjazd mamy — ładna rzecz! mama tak lubi to swoje biureczko.

Staś. Naturalnie, że nie ma co innego robić, tylko ja jutro zawołam stolarza i każe nakleić nowe sukno — a kto wylał atrament, niech zapłaci.

Jańcia. Ja... ja... (urywa, jakby nie chciała nic więcej powiedzieć).

Staś. A naturalnie, że nie ja — masz przecie te pieniądze, które ci wujcio dał na lalkę — możesz zapłacić, kiedyś zrobiła taką szkodę.

(d. c. n.)

## Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

Ze zboleiał sercem i bezładnemi myślami szła Basia długo bez celu, bez świadomości prawie. Z jednego tylko zdawała sobie sprawę. Piotruś, którego kochała nad życie, szanowała jak ojca, który zawsze był taki uczciwy i prawy, zamknięty teraz w więzieniu, oskarżony o kradzież! Nie, to niemożliwe, zupełnie niemożliwe! A przecież powiedział to Jakóbek, jako rzecz pewną, więc musiał coś o tem wiedzieć. Piotruś z pewnością nie uległ żadnym pokusom, ani namowom, ani złym przykładom, on taki nieugięty gdy szło o uczciwość, on, który zawsze tylko szlachetnie postępował!

Tak rozmyślając boleśnie, wydostała się Basia narzeczcie do więcej znajomej sobie części miasta, a stamtąd do mieszkania i była tak zmęczona na ciele i duchu, tak zbiedzona, że rzuciwszy się na swój sienniczek, pierwszy raz oddawna zasnęła natychmiast.

Już było całkiem widno, gdy ją zbudził ruch w izdebce. Ubrała się czemprowadziej i wybiegła na ulicę, jakby zależało na pośpiechu, wkrótce jednak oprzytomniała.

— Prawda, toż to dopiero wieczorem! — westchnęła.

Dzień minął jakoś, choć bardzo długi i smutny. Wreszcie wróciło dziewczę do domu, żeby w skupieniu ducha zastanowić się trochę i pomodlić, wzywając Boga o pomoc i radę przed krokiem, który przedsięwzięła. Wiedziała o tem dobrze, że Piotruś nie chwalił postępowania Jakóbka, a to, co wczoraj widziała, nie mogło w niej wzbudzić zaufania.

— Bał się, żeby go policya nie pochwyciła i nie wsadziła do więzienia, „do kozy,” jak się wyrażał, a więc musi mieć coś na sumieniu. Dla czego od miesiąca znikł jej z przed oczu? Kto byli ci przyjaciele i towarzysze, z którymi obiecał naradzić się? Dlaczego mieszkał w takim tajemniczym schronieniu, do którego pewno nie trafiłaby nigdy sama, przez tyle ciemnych i krętych zaułków.

Przecież mimo, że ogarniał ją jakiś lęk nieokreślony, postanowiła stawić się w oznaczonej porze przy moście, aby się widzieć raz jeszcze z Jakóbkim. Dziewiąta godzina dochodziła, gdy wysunęła się cichutko z izby, której reszta mieszkańców już spała. Po omacku zeszła z drabinki i nieśmiało przez niezamkniętą jeszcze bramę wysunęła się na ulicę.

Tu panujący ruch pieszych i przejezdnych, światła latarni i sklepów dodał jej trochę odwagi. Wydostała się na Plac Zamkowy a potem Zjazdem zeszła do mostu i schodkami poczęła się spuszczać na brzeg Wisły.

Mgliste, mroźne powietrze piekło jej twarz i ręce. Zamarznątą rękę pokryła gruba warstwa śniegu; tylko brzegiem ciągnęła się wydeptana ścieżynka. Latarnie przejeżdżających po moście powozów rzucały przez mgłę od czasu do czasu trochę światła na to szkaradne i trudne przejście; poczem jednak wydało się jej jeszcze ciemniej, jeszcze straszniej dokoła.

Szła jednak wytrwale, powoli, ostrożnie, poślizgując się i potykając wzdłuż podmurowanego brzegu, aż znalazła się u pierwszego słupa, gdzie było naznaczone miejsce spotkania.

Tam przejście było prawie całkiem zawałone wielkiemi głazami, przygotowanemi widać do naprawy podmurówki. Basia przytuliła się do nich, zasłaniając o ile mogła od ostrego wiatru, który ją siekł w twarz swym lodowym powiewem.

Długo słyszała jeszcze w górze, nad sobą turkot kół i odgłos kroków ludzkich, lecz pomału hałas ten ustawał aż w końcu zaległa cisza, przerywana tylko rzadko turkotem spóźnionej dorożki.

— Z pewnością dziewiąta dawno już minęła — pomyślała drżąc z zimna. Słyszając gdzieś w dali bijący zegar, zaczęła rachować: raz, dwa, trzy, cztery... gdy szeles wody, spływającej gdzieś niedaleko, zagłuszył jej te dźwięki i rachunek został przerwany. Musiała być co najmniej dziesiąta. Jakóbek najpewniej o niej zapomniał.

Stała jeszcze nieruchomo chwilę, naraz zdało się jej że słyszy w dali straszny huk i łomot pękających lodów że woda w Wisły występuje i podnosi się ku gładom, o które stała oparta.

Poruszyła się, gotowa już uciekać, gdy szelest kroków ludzkich zatrzymał ją jeszcze. Stała, oddech wstrzymując. Ktoś najpewniej się zbliżał; nie, to były dwie osoby, bo słychać było cichą rozmowę.

— Antek to mazgaj do niczego! Zgubi nas wszystkich, — mówił ktoś ochryplym szeptem. — Ostatniej noc cy krzyczał przez sen jak waryat, wołał jakiegoś Piotra czy Jana, lichy wie kogo. A rano był całkiem jak nieprzytomny, kiedy trzeba było przyjąć „przyłożyć ręki” powiedział, że on nie pójdzie. To nie jest pewny dla nas chłopak i źle zrobiliśmy, przyjmując go...

— Eh, wyrobi się z czasem — zauważył towarzysz.

— Ba, już blisko sześć tygodni z nami „pracuje,” a nie mieliśmy jeszcze z niego najmniejszej korzyści.

— Wygląda jednak na sprytnego. Zresztą jakby nie było, nie możemy zaraz go usunąć, bo zanadto wtajemniczony jest we wszystkie nasze sprawy.

— To właśnie najgorzej. Ale po cóż dzielić się z nim zyskiem, do którego ręki nie przyłożył? Gdzieby teraz schować dzisiejszą naszą zdobycz? Pięknie moglibyśmy wyglądać, gdyby nas przyłapano z dwoma zegarkami i parą złotych kolczyków w kieszeni.

— To najmniejszy kłopot; schowamy je do tej kryjówki, jakby umyślnie dla nas zrobionej — wiesz, tam pod sklepieniem...

Głosy zbliżyły się, Basia z przerażeniem spostrzegła że mówiący idą w jej stronę. Nagle stanęli.

— Ktoś tu jest? ktoś się poruszył. Kto tam? — zawołali!

Wystraszona Basia chciała się już odezwać, ale uczuła, że głos zamarł jej w piersi. Tymczasem nim zdołała się opanować, ktoś odpowiedział za nią.

— Swój! Był to Jakóbek, który przyłączył się do tamtych i wszyscy trzej oddalili się, rozmawiając szepem. Po chwili jednak chłopak sam powrócił.

— Pst, pst! Basiu!

— Jestem! — odrzekła dygocąc.

— Jestem głupi, że się dla was tak narażam, ale że jesteśmy z tej samej wioski!..

— To dla Piotrusia! — szepnęła Basia — onby dla ciebie to samo uczynił.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

od Zbyszka dla Wichury.

Nazwę ptaka otrzymasz, zapewniam cię szczerze,  
Chociaż umieścisz tylko literę w literze.

### ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA

ul. Czarny Rycerz.

a	a	a	a	c	c	c	Z rozrzuconych tych liter ułożyć
c	c	e	e	g			wyrazy, któreby tworząc tę samą
g	h	i	i	i			figurę, złożyły w rzędzie środkowym
k	k	l					pionowym tytuł powieści dru-
		l					kującej się obecnie w Wieczorach,
	n	n	o				1 rząd poziomy: Kobięce nakrycie
p	t	r	s	t			głowy. 2) Mały domek wiejski. 3)
u	w	y	y	z	z	z	Odziewek górali polskich. 4) Zwie-

rzę drapieżne. 5) Spółgłoska. 6) Oznaka żalu. 7) Roślina gospodarska. 8) Ozdoba dziewczęca.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

Szarady: B a l.

#### Łamigłównki w trójkacie:

K o p e r n i k  
O k u l a r y  
P a r n a s  
E j f e l  
R y b a  
N i l  
I m  
K

### Skrzynka do listów.

P. Stanisławie Cyb. w zapowiedzi „od Redakcyi” w dzisiejszym numerze znajdzie pani odpowiedź na pytanie, co do premium za rok bieżący.

Za słowa wdzięczności od Dzieci Rohatyńskich serdecznie dziękujemy.

F. K. Powiastka wymaga poprawek.

Listów od Maryjki chętnie oczekiwac będziemy.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali:

Maryjka Wołyniak z nad Słaczy, Basia i Mały Wołodyjowski, Bławatek z Humania, Złoty Sokół, Mała Pieszczoszka, Różowy Piesek, Wisielka i Sokół, Stefa Jasnogłównka, Hajduczek, Włodzimierz Słub., Lilla Weneda, Jagienka, Niedźwiedź z nad Wili, Charlemagne, (rozwiązanie dobre, ale wiersze trochę kulawe) January z Taszkentu, Zbyszko i Zosia Str.

Mewę z nad Bzury prosimy o adres.

I listem i kartką uradowało mnie Podole, więc za jedno i drugie dziękuję ci serdecznie. A za list szczególnie, bo poznałam z niego dokładnie miłą, żywą i wesołą osobkę, którą zapisuję do grona korespondentek. Zaginiony numer wysyłamy. Mam nadzieję, że częściej zechcesz do mnie pisywać.

Wieśniaczce, która po raz pierwszy odzywa się do mnie z dalekiego miasta i od razu żąda „surowej krytyki” dla swego obrazka, pospieszam z odpowiedzią. Widzę, że jesteś bardzo inteligentna, dużo czytujesz i masz pociąg do literatury. Sposób układania wyrażen masz jasny, styl i język poprawny, ale co do treści to przyznaj sama, że rzecz jest chybiona? Chłopczyk ów miał kawałek chleba i butelkę mleka dla chorej matki, pocóż więc szedł żebrząc o niewłaściwej porze do domu, w którym odbywała się zabawa. Gdyby ten krok jego był wytłomaczonym jakimś poprzednim zdarzeniem, można byłoby się nań zgodzić, ale tak mamy tylko suchy opis smutnego wypadku. Nie zniechęcaj się tylko tą „surową krytyką” i przysyłaj mi, proszę, dalsze próby.

Młodemu Myśliwemu. Moich korespondentów tylko wówczas posądzam o lenistwo, gdy się sami do tego przyznają; tłumaczę ich zwykle, że przy naukach nie zawsze znaleźć można wolną chwilę do napisania listu. Również jak wy, zbieram karty, czyli jak dziś mówią: „pocztówki.” Rebus trafnie odgadłaś. Bardzo radzi jesteśmy że: „Paniczyka” i „Różę bez kolców” czytacie z takim zajęciem.

Jeżeli odpisywałam Rycerzowi Skrzydlatemu, dlaczegożbym listu Dewajtysa z nad Dubisy przeczytać nie chciała? Nic mu nawet zarzucić nie mogę, bo bardzo starannie pisany, chyba to, że cokolwiek zakrótki. Ale w przyszłym obiecujesz mi więcej wiadomości udzielić, czekam więc; z przyjemnością pod nowym pseudonymem witam dawnego korespondenta.

Zbyszko odziedziczył krew gorącą imiennika swego z „Krzyżaków” i niecierpliwi się, że czasem na odpowiedź dłużej musi czekać, ale nie myśl, by moje lenistwo było powodem opóźnienia. Odpowiedzi cały tydzień leżą w drukarni, zanim z nowym numerem do rąk się waszych dostaną, a czasami nie wszystkie się mieszczą i już zamiast tygodnia, dwa oczekiwać musicie. Łamigłównki złożyłam w Redakcyi. Określ bliżej, jakiego rodzaju książki potrzebujesz i z jakiego działu przyrody?

Szymusiowi i Maniusi Rein. Wasze rozwiązanie nadeszło już jako 4-e z kolei. Weźcie udział w konkursach i następnych zadaniach, nie wątpię, że otrzymacie nagrody.

Lilla Róża i Lilla Weneda. Koszulki własnoręcznie uszyte mogą przysłać wprost do Redakcyi, a my według waszego życzenia, odesłamy je do szpitalika, lub ochronek, lub „Rozdawnictwu odzieży.” Zaginione numera, jeżeli nie są wyczerpane, wysłać możemy. W tym roku oprócz zadań do nagrody ogłosimy konkursu na kaligrafię dla młodszych, wypracowania i roboty ręczne.

Stokrotce z za gór wdzięczną jestem, że w osamotnieniu, po wyjeździe rodzeństwa przypomniała sobie o mnie, darząc mnie tak miłym i serdecznym listem. Winszuję tak wesoło spędzonych świąt: teatr amatorski, sanna, miłe towarzystwo! możesz teraz, zwłaszcza przez Wielki post odbyć się bez większych rozrywek, tembardziej, że Wielkanoc będzie pewnie znowu więcej ożywiona. W grze Stanów Zjed. Am. Póln. używa się 2 sześcioboczne kości.

Polnej Różyczce za ładną kartkę dziękuję, życzenie twe spełnię chętnie. Dziewannie również za pamięć dziękuję.

Jagienkę bardzo pochwalam, że choć od niedawna jest naszą prenumeratorką, nie namyślała się długo i zaraz do mnie napisała. Czekam dalszych listów. Ofiary na Jasnogórę zapisujemy i ogłaszamy w oddzielnej rubryce w miarę, jak się zbierają.

Wróżbiarkę Szczęścia proszę o nowy adres, bo mam tylko adres w P., a wtedy listownie pospieszę z dłuższą odpowiedzią.

Ponieważ mam już jedną Lillę Wenedę, więc ciebie dla odróżnienia muszę nazywać Lillą Wenedą z Satyjowa, czy zgoda? Chętnie przeczytam twoje utwory i sąd swój o nich wypowiem. Do zagadki swego układu nie dołączyłaś rozwiązania. Żądaną książkę wysłamy.

Wasza *Suskółka*.